www.parafia-wierzenica.pl

Znak Dobra

Wierzeniczenia

NUMER SPECJALNY 5 [146] 2018

Jesteśmy dumni. Dziękujemy!

W poniedziałek 28 maja odwiedziłem z Komunią św. panią Ewę Szymańską. Czynię to w każdą pierwszą sobotę miesiąca. Tym razem ze względu na planowany pobyt w szpitalu poszedłem w trochę innym terminie. Kiedy skończyła się rozmowa z chorą, do pokoju przyszła jej córka Marzena, która poprosiła mnie o specjalne błogosławieństwo. Powiedziała: jutro wyjeżdżam do Stanów Zjednoczonych i będę brała tam udział w kilkutygodniowych zawodach kolarskich. O udziale w tym wyścigu marzyłam od lat i przygotowywałam się do niego długo. Do przejechania będzie około 6745 km zaczynając w miejscowości Astoria na zachodnim, a kończąc w Yorktown na wschodnim wybrzeżu Ameryki. Trasa wiedzie przez 10 stanów. Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić w ciągu 2 miesięcy. Wyścig nazywa się „Trans Am Bike Race 2018". Zawodnicy jadą indywidualnie wyznaczoną drogą i każdy sam wyznacza sobie ile kilometrów przejedzie danego dnia. Sam też organizuje sobie nocleg i zabezpiecza jedzenie.

Oczywiście Marzenę pobłogosławiłem, życząc nie tylko udanego startu, ale także szczęśliwego powrotu. Ponieważ wiedziałem, że będzie utrzymywała kontakt z najbliższymi, poprosiłem ją by także dla naszych czytelników przysyłała krótkie relacje z tej swojej życiowej wyprawy. Za pośrednictwem jej siostry Beaty zaczęły docierać do mnie kolejne zapiski z tego wyjazdu. Tekst przytaczaliśmy bez jakichkolwiek poprawek. Pisane to wszystko było zapewne w mało komfortowych warunkach.

Pierwsze odcinki wraz z informacją, że Marzena startuje w tym wyścigu zamieściliśmy w poprzednich „Wierzeniczeniach”. Dalej tę przygodę mogliśmy śledzić na stronie internetowej wierzenickiej parafii. Zgromadził się wcale niemały bieżący zapis przeżyć, w którym widać pasję, zmęczenie, radość, kłopoty, rozmaite przeżycia i spostrzeżenia. Momentami w tych zapiskach wręcz czuje się emocjonalne napięcie. Nigdy jednak nie pojawił się ślad wątpliwości czy zniechęcenia: po co ja tu jestem, koniec, dalej nie jadę. Rezygnuję.

Przyłączając się do gratulacji ukończenia tego wyścigu, przegotowaliśmy numer specjalny poświęcony tej wyprawie. Chcemy ofiarować Marzenie kilkadziesiąt egzemplarzy tego wydania, by mogła w ramach swoich opowieści przyjaciołom i znajomym wręczać pamiątkowy zapis tej niezwykłej przygody. Jej początek miał miejsce 3 czerwca, szczęśliwe zakończenie 7 lipca. W wyścigu brało udział ponad 100 zawodników, z czego około 40 wycofało się w trakcie. Kobiet brało udział tylko 6, z czego jedna zrezygnowała. Kiedy Marzena dojechała do mety, za nią w trasie było jeszcze ponad 20 zawodników. Uczestnicy wyścigu pochodzili z wielu krajów. Marzena była jedyną reprezentantką Polski biorącą udział w tegorocznych zawodach..

x Przemysław Kompf

Dziennik Marzeny

3.06.2018
Dziś 263 km i 2554 m w pionie. Od samego początku wspaniałe widoki. Pacyfik zrobił na mnie ogromne wrażenie. Na trasie spotykałam się z Alaina z Anglii. Oraz z Markiem, który pochodzi z tych stron. Raz po raz spotykam też innych zawodników, ale nie znam ich jeszcze z imion. To był piękny, słoneczny dzień. Zimny wiatr sprawił jednak, że cały dzień jechałam w nogawkach i rękawkach. To tyle na dziś, śpię w namiocie na granicy dwóch pól. Słychać niestety hałas z ulicy. Dobranoc.

4.06 2018
Spałam na samiutkiej przełęczy McKenzie, na wys. ponad 1600 m n.p.m. Na top dotarłam jak się ściemniło. Spotkałam tam jadących jako duet ojca i syna. Oni polecieli w dół, a ja się zamelinowałam. Rano zimno, 5 stopni i gęsta mgła. Teraz w kawiarence Sisters jem śniadanie.

05.06.
Mitchell. Był duży podjazd, 500 m w pionie, poszedł. Od mniej więcej południa nic mnie już nie boli. Prawie od startu miałam problem z prawa kostką (Achilles i jakiś mięsień z boku). Regulowałam bloki w butach wiele razy. Dziś też regulowałam przerzutkę tylną. Do Mitchell był długi zjazd, ponad 500 m w dół. I gdy już myślałam, że w samym dole jest Mitchell, okazało się, że jeszcze trzeba trochę pojechać w górę. Krajobraz się zmienił. Nagle góry są suche i spalone słońcem. Mitchell jak oaza z darmowym jedzeniem dla zawodników :)

06.06
Baker City. Wreszcie! W nogach 3 ciężkie podjazdy. W nocy spałam słabo. A nocleg był w kościele Adwentystów. Poza mną 2 innych zawodników. Jeden chrapał, więc musiałam wstawać i szukać stoperów do uszu. Za to było ciepło. Obudziłam się nieprzytomna. A na zewnątrz 5 stopni zimna. Muszę mówić, że było wrednie? Ubierałam się na raty, miałam ochotę spać po rowach. Straciłam mnóstwo czasu. Potem piłowanie podjazdów. Długie i wyczerpujące. Po drodze pusto. Nic. Raz po raz jakaś farma, nawet nie wiem, czy czynna. Jak jakiś koniec świata. Na stacji teraz jestem.

06.06
Po 32 km dotarłam do Richland, czekam na śniadanie. Dziś opuszczę stan Oregon i wjadę do Idaho. Wczoraj, aby zjeść śniadanie, musiałam przejechać 50 km. Przed śniadaniem, aby przetrwać jadam batoniki i... chipsy. Tak, Tak, stary nałóg chipsowy wrócił. I nie mam wyrzutów sumienia. :) Pogoda cały czas doskonała.

7.06.
No więc mnie dopadło. Burza w górach. Podjazd na przełęcz White Bird bardzo sprawnie. Jednak im wyżej byłam, tym więcej widziałam. Sine góry. To niczego dobrego nie wróżyło, więc dociskałam z nadzieją, że zdążę przed nawałnicą. Nie udało się. Na 1250 m zaczęło się. Chwilę siedziałam pod jakimś iglakiem, do końca podjazdu brakowało tylko 80 m. Widząc, że to się rozkręca, wsiadałam na rower i przed siebie. Szybko do góry i ostry zjazd. Kto robił coś takiego, ten wie. Górska, kręta droga, deszcz, burza, żwir i asfalt. To trudne warunki a długi zjazd. Grangeville osiągnęłam w ulewie. Niebo sine. Siedzę na dużej stacji paliw i dochodzę do siebie.

8.06.
Po wczorajszej nawałnicy doszłam do siebie na stacji i... ruszyłam dalej. Dojechałam już w ciemnościach do Kooskia. Spotkałam tam Genevieve spacerującą ulicą. Mówiła, że ona i jeszcze 2-chłopaków mają noc w hotelu. Zapraszała, jeśli nic nie znajdę. Szukałam najpierw kościoła.

Było koło 22, gdy na stacji pytałam o kościół, byli w szoku, że o takiej porze szukam kościoła :-) wszystkie były zamknięte, wiec poszłam spać na pocztę. Ciepło, ale niestety jasno. W nocy ktoś raz przyszedł do skrzynki. Od rana podjazd. 167 km jazdy pod górę. Najpierw łagodnie, a na koniec na ostro. Upał mnie zabił. Spać będę w Lolo. Opuściłam dziś stan Idaho i wjechałam do stanu Montana.

10.06.
Wczoraj pośród burz i deszczu dotarłam do Jackson. Mała wioska, miała być poczta, były tylko skrzynki na listy :-). Kościół zamknięty. Wioska w mroku, przez nawałnicę wyłączyli prąd. Mrok i dźwięk dzwoneczków pośród szalejącej pogody. Na progu hoteliku dziewczyna z latarką. Kto? Genevi?ve Arcand, wyszła mi na powitanie, mówiąc, że poza skrzynkami nie ma poczty. W hotelu świeczki, nastrojowo! Pięknie. Rano spałam długo. Wszyscy, poza Alaina jeszcze tu byli. Na zewnątrz delikatnie padał śnieg... Dziś dzień zimny i z bardzo silnym wiatrem. Teraz jestem w Ennis i jem. Zjazd tu miał prawie 20 km długości. Trudny, bo z wiatrem bocznym. Widoki porażająco piękne. To wspaniałe, że mogę tu być.

12.06.
Wczoraj do końca dnia jechało się wrednie. Wyjechałam ze stanu Montana i wjechałam do Wyoming. W Yellowstone potwornie wiało, prawie zwiewało mnie z drogi. Widoki piękne, ale to jednak jest wyścig, więc nie było czasu by zobaczyć coś więcej. Do końca dnia było też zimno i z mżawkami. Spałam na poczcie (po raz 3) w Grant Village. Rano bardzo zimno, -3. Niebo błękitne. Teraz jestem w Dubois i czekam na obiad.

13.06
Wczoraj kompletnie wywiana i przegrzana odpoczywałam w Mudy Gap. Spotkałam tam Georga, który z sakwami robi poza wyścigiem trasę TransAm. Mile pogadaliśmy. A potem ruszyłam w drogę do Rowlins. Wieczór i wczesna noc przyjemne, bo bez upału i bez wiatru. Gdy zmieniałam baterie w spocie, zatrzymała się przy mnie policja stanowa. By zapytać, czy wszystko ok :-). Noc na poczcie. Teraz śniadanie w McDonald. Obrzydliwe. Słodka bułka z bekonem i jajkiem.

14.06
Jest potworny wiatr. 8 km prowadziłam rower, bo mnie przewracało i wywiewało na środek drogi. Przez kompletne pustkowia. Miły pan

z pickupa zatrzymał się i dał mi wodę. Kilkadziesiąt km dalej od 3 dni szaleje pożar. Moja droga ponoć otwarta. Powietrze jest tu bardzo suche. Mam od tego problem z nosem. Popękana śluzówka, boli, szczypie i krwawi. Nos oczywiście zapchany. Byłam więc znowu w aptece, bo w zwykłym sklepie wszystkie spray'e do nosa wyprzedali. Idą jak woda. Jestem wysoko, ponad 2000 m n.p.m.
Wczoraj długo siedziałam w Saratoga. Najpierw frytki, potem apteka, a na końcu muzeum z wifi. Dziewczyny odpowiadały, ze w Wyoming bywa jeszcze gorzej. Bałam się wyjść na ten wiatr, ale wyszłam. Dotarłam do Riverside, a potem już częściowo po ciemku do Cowdrey, na pocztę spać. Po ciemku nie było fajnie, na granicy stanu Wyoming i Colorado jakieś zwierzęta piskliwie i wściekłe szczekały. Dziś rano musiałam regulować przerzutkę tylna. Poważniejsza regulacja, bo musiałam naciągnąć linkę. Robiłam to po raz pierwszy w życiu i... udało się! Teraz śniadanie w Walden

15.06
Z nosem jest źle. Krwawi, boli. Twarz mam cały czas osłoniętą. Generalnie czuję się źle. Od wczoraj non stop powyżej 2000 m. Dziś byłam na 2900. Źle mi się zrobiło ok. 2800. Głowa mnie rozbolała i musiałam robić odpoczynki na zjeździe. Zresztą zjazd był marny, bo pod wiatr i rower nie chciał jechać. Chcę być już niżej wreszcie. Tu nie czuję się dobrze.

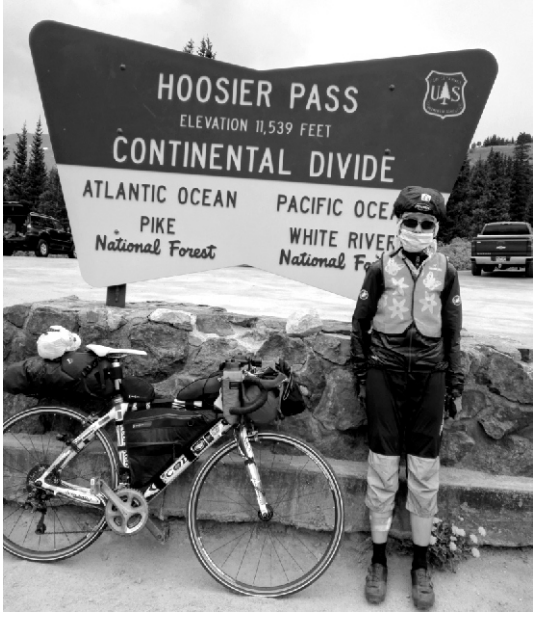

16.06
Spałam w namiocie, na miejscu postojowym dla samochodów. Dookoła kręciły się burze, ale żadna na mnie nie spadła. Mocno w nocy wiało i szarpało mi namiotem. Czuję się niezmiennie źle. Jadę, bo idzie załamanie pogody, a wtedy to będzie tu jeszcze gorzej. Nawet wolę sobie tego nie wyobrażać, na tej

wysokości. Teraz jestem w Silberthorne i na stacji jem śniadanie. Okropne to jedzenie. Jem tylko dlatego, że trzeba jeść. Z nosa wydmuchuje skrzepy. Ja chcę być już niżej. Głowa mnie boli. Jak wrócę do domu, to nadal będę jeździć rowerem. Ale tylko z wiatrem w plecy, oczywiście oraz tylko po płaskim, na małych wysokościach.

16.06
Mam mdłości. Jest tu dziwnie. Chłodne powietrze, ale duszno i parno. Czuję się jak lekko pijana. Jestem na 2800. Miejscowi ludzie jeżdżą tu na rowerach. Szybko. I jakoś nie zatrzymują się na każdej górce dla złapania oddechu. O mamo, kiedy koniec? Siedzę na trawie teraz i odpoczywam. Jestem zmęczona.

Nie myślałam, że będzie tak źle. Byłam w klinice medycznej, w sklepie rowerowym (miły pan gratis zrobił porządek z moją przerzutka tylna). Z nosem dramat. Szkoda nawet gadać. Bolą aż zatoki czołowe. Powyżej 3000 m miałam już problemy z oddychaniem, jakby ktoś mi coś położył ciężkiego na klatce piersiowej. Próbowałam oddychać na różne sposoby. Nic. Na samej przełęczy zawroty głowy. Musiałam posiedzieć. Podjazd nie trudny, ale wysokość mnie zabiła. Częściowo z musiałam iść pieszo. Ostatnie 20 m chciałam honorowo wjechać rowerem, ujechałam 10 m i dalej nie dałam rady. Rowerem i pieszo. Kazimierz Nowak byłby dumny.

17.06
Zjazd był w całości pod wiatr, więc trzeba było popracować. Początek w deszczu, w dużym ruchu samochodów. Potem były małe podjazdy. Zatrzymywałam się kilka razy. W Fairplay, na jedzenie, potem w Hardshel w sklepie. Cały czas czując się źle. Reszta zjazdu za Hardshel to był... długi, delikatny podjazd pod wiatr. Może z 20 km. Szarpałam tam mocno i naciągnęłam jakiś mięsień z tyłu lewej łydki. Boli. Potem zrobiło się ciemno i zaczął się zasadniczy zjazd. Szybki do Wnhill po ciemku. Z tego zapamiętam Colorado. Z jazdy w ciemnościach oraz z... łosi. Spałam 14 km przed Canyon City, na nieczynnym kempingu. W damskiej przebieralni. Teraz w Canyon City jem śniadanie.

17.06
Z wiatrem jest tu katastrofa. Dojechałam do Ordway. Szedł chyba front, ciemne chmury. Jak zaczęło wiać, rzucało mnie po całej ulicy, na szczęście pustej. Zamiast na równaniach gnać, to czołgam się pod wiatr, albo walczę z wiatrem bocznym, by w ogóle utrzymać się na rowerze.

Masakra. W nosie nadal Sahara. Tu jest gorąco. O 17.30 było 38 stopni w cieniu. Łydka nadal ciągnie, zwłaszcza, gdy wsiadam na rower po postoju.

18.06.
W Eads, to chyba było w Eads, po raz pierwszy na tym maratonie moczyłam ubranie zimną wodą. Ulga od upału była na ok. 20 minut :-). W stanie Kansas latają obrzydliwe muchy. Niezbyt duże, ale gryzą! Wystarczy się zatrzymać na minutę i można stać się dla nich obiadem. Jestem teraz w Tribune, mam na liczniku prawie 200 km i jem pizzę. Wiatr dziś zmienny. Ale nie przewraca mnie. Doceniam to, oczywiście. Czuję się dość zmęczona.

19.06.
Wczoraj dojechałam do Leoti. Było to o zmierzchu. Czułam się zmęczona upałem i wiatrem. Wiatr przeszkadza już od kilku dni. Dziennie robię ok 200 km. A to oznacza, że wiatr przeszkadza od kilkuset kilometrów. Można mieć dość. Noc na poczcie. Poczta w centrum, taka bez zakamarków, myślę, że było mnie widać z ulicy. W dodatku co chwilę ktoś wchodził po listy. Raz nawet zostałam obudzona, bo moje legowisko zastawiało komuś dojście do skrzynki. Chyba pół miasta mnie widziało. Wstałam po 3. Ok. 4 na rowerze. Długo było ciemno, zapomniałam, że była zmiana strefy czasowej. W nosie mam chyba pamiątkę po wysokich górach. Tam musi być rana, bo dziś znowu skrzep, a za

nim krwotok. Wystraszyłam się nieco. Jadę więc od Scott City pomału. No trudno, widocznie organizm potrzebuje czasu. Ulice zrobiły się ruchliwe. Jeżdżą tu big trucki. Przewożą ponadnormatywne ładunki. Jeden nawet wiózł drewniany dom, w całości! Gdy jedzie coś takiego z obu stron, to trzeba uciekać z ulicy. Nie jest zbyt bezpiecznie. Jest też dużo koników polnych. Są nawet w sklepach i na poczcie. Plaga. Na zewnątrz gorąco, w sklepach, na stacji zimno od klimy. Ludzie walczą z upałem. Wyobraźcie sobie, że trudno tu kupić zwykłą, ciepłą herbatę. Pełno kawy i słodkich, gazowanych napojów, a z herbatą problem. Trudno też kupić smaczny, prosty posiłek. Zjadłabym polski chleb albo normalny obiad. Prawie nie ma tu owoców, z jogurtami też słabo. W Polsce są teraz moje ulubione czereśnie. W sezonie zwykle zjadałam 2 kg dziennie. A tu owocowa pustynia. Ze Scott City puściłam się do Ness City. Spiekota straszliwa. Ok. 50 km w pełnym słońcu, bez cienia, pod 40-stopni gorąca. To było straszne. Myślałam, że nie dojadę i padnę na trasie. Z 15 min. siedziałam pod jakimś starym silosem, w skrawku cienia. Od ponad godziny jestem w Ness City. Nie ruszę się stąd, aż ten żar nie minie.

Z Ness City pojechałam jeszcze do Bazine. Za mną były chmury burzowe, ale z prognozy pogody wnikało, że idą pomału. Słońca nie było już widać, więc i spiekota mniejsza. Miałam silny wiatr boczny. Zdążyłam do Bazine. Zapuściłam korzenie w sklepiku / stacji. Dość dziwne, ale miłe miejsce. Właściciel mówił, że za godzinę zamyka, ale mam się nie bać, bo na nawałnice mnie nie wyrzuci. Zapytał czego się napije i gratis dał mi Gatorade! Burza szła powoli. Następna miejscowość, Alexander, była za 8 mil. Pojechałam. Ujechałam może z 3 km, gdy zorientowałam się, że popełniłam błąd. Burza była tuż nade mną. I wtedy... przy drodze spotkałam Boga. Na wzgórzu zobaczyłam

wielki napis: Christ pilot me. I wiedziałam już, że będzie dobrze. W szalonym wietrze, bez kręcenia, jechałam 38 km/h, zrobiło się zimno i sino od piachu unoszącego się w powietrzu. Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. To było wstrząsające. W Alexander miejsce postojowe ‚rest area‚. W tym rejonie prawie tego nie ma. Budynek, klimatyzowany, z łazienkami. Czysto, wszystko nowe. Zostałam na noc. Rano od 5 na rowerze. Teraz jestem w Larned, jem śniadanie. Jest obrzydliwe, jak prawie codziennie.

20.06.
Eureka! To takie miasto :-) 120 km od rana do teraz. Tu zjem obiad. Wieje mocno. Z tyłu, ale jest to tak silny wiatr, że wystarczy, że droga lekko skręci i zarzuca rowerem. Trzeba uważać. Zwłaszcza, że jeżdżą tu big trucki. Dziś zaliczyłam glebę. Na remontowanej drodze, 10 km luźnego żwirku. Nie dało się jechać szybko, próba skończyła się upadkiem. Nocleg miałam na poczcie w Newton. Bardzo przyjemna poczta to była. Rano nawet puścili muzyczkę.

21.06.
Jeszcze przed Newton zaczęłam spotykać kibiców. To było niesamowite! Robili mi fotki, znali moje imię. Wymawiali je w uroczy sposób: Marzina (r i z jako osobne litery). Było też dwóch szosowców, którzy kawałek pojechali obok mnie. A wczoraj spotkałam super kibickę. Ma na imię Corina Barclay Cox. Była ze mną w markecie i towarzyszyła mi podczas zakupów, a na koniec zrobiła filmik ze mną :-). W Toronto załapałam kapcia. Dużo czasu poszło, bo miałam problem z założeniem z powrotem tylnego koła, w dodatku bardzo wiało. Miałam spać w hotelu w Chanute. Jednak jedząc

kanapkę w Subway doczytałam wiadomość od kolegi, który pisał, że mam jechać jak najdalej, bo wiatr ma się odwrócić i będzie rzeźnia. Tak bardzo mi się nie chciało! Do Walnut miałam 40 km. Marzyłam o hotelu i prysznicu. Jednak pojechałam dalej. Gdy zrobiło się ciemno, pojawiły się świetliki. Latało ich dużo. Widok niezwykły, tak jakby gwiazdy na te parę chwil z nieba zeszły tuż nad ziemię. Magia. Warto było jechać do Walnut. Noc na poczcie.

22.06.
Jestem w sklepie rowerowym w Pittsburg chyba już z 2 godziny. Jest tu przede mną inny zawodnik, który miał złamaną szprychę. Ale serwisują mu chyba calutki rower, bo to trwa nieskończenie długo! Byłam w międzyczasie na poczcie, wysłać ciepłe ubrania do domu. Wróciłam i stan bez zmian - nadal serwisuję inny rower. W moim rowerze ciągle jest problem z przerzutkami, a od Missouri wracają górki. Muszę więc czekać. Złoszczę się, że tak długo to trwa. W końcu wzięli mój rower na warsztat. To duże regulacje, takie z którymi sama bym sobie nie poradziła. Dobrze, że tu jestem.

22.06
Jestem już w stanie Missouri. Golden City. Cukiernia. Dobrze, że dałam zrobić ten rower. Bo sporo górek.

23.06.
Jestem w Ash Grove u Mike i Wendy Dawis. Oni lubią ten wyścig i kochają kolarstwo. Prawdziwi pasjonaci! Mike wczoraj wyjechał mi na spotkanie i pilotował do hoteliku. Ale zanim ruszyliśmy dostałam pyszną kanapkę. Tu też jest pełno świetlików :-). Potem zostawiłam rower i w trójkę udaliśmy się na zakupy. No i w końcu wzięłam prysznic!! Dostałam też piękną pamiątkę (fotka). Teraz śniadanie i w drogę. Missouri to same ostre górki. No i jeszcze podsumuje Kansas. To tam zdarzyły się wypadki z udziałem samochodów i maratończyków. Ja poznałam inne Kansas. Dobrych kierowców, wyprzedzających z uwagą i dużym odstępem. Gdy trzeba było, wlekli się za mną. Żadnego trąbienia, gazowania silnikiem. Częste uśmiechy, machali mi. Tak zachowywali się też kierowcy big truckow. Był upal, mocno wiało. Miasteczka było widać jak na dłoni, gdy były z 15 km dalej. Złudzenie, że blisko, a jechało się i jechało :-) . No to teraz Missouri. Mam nadzieje, że tu też będzie fajnie!

23.06.
Marshfield. Missouri to same górki. Ścianka za ścianką. Od rana mam

dziś 76 km i 1087 m pionu. Teraz jestem w McD i jem oraz odpoczywam od ścianek i gorąca. Podszedł do mnie nieznajomy pan. Zapytał, czy jadę przez całą Amerykę. Potwierdziłam. Dał mi 20 dolarów i mówiąc "be safe", uciekł. Te pieniądze bardzo się przydadzą.

24.06.

Wczoraj dojechałam do Bendavis. Tylko 150 km udało mi się zrobić. Wstałam późno, no i te ściany! W Hartville zjadłam danie śniadaniowe na późny obiad i z nowymi siłami zdobywałam Bendavis. Po drodze spotkałam zamkniętą pocztę. Mocne zaskoczenie :-). Wieczorem znowu świetliki. Dojechałam do miasteczka. Poczty nie było, ale był Kościół Baptystów. Pod Kościołem spotkałam Toni Clark z mężem. Zaprosili do Kościoła na kolację, a potem na noc. Bardzo mile spędzony wieczór. Dziękuję! :-). Poza tym nie dzieje się nic szczególnego. Ściana w górę, ściana w dół i ze sto zakrętów

24.06.

Wczoraj bardzo ciężki dzień. Rano, za Houston, złapał mnie deszcz, a potem burza z ulewą. Było za to ciepło i nie wiało. Tak aż do Summersville. Tam obiad i w przelotnych deszczach do Eminence. Za tą miejscowością zaczął się ciężki odcinek z wieloma ściankami po naście procent. Niektóre musiałam iść pieszo, bo za ciężko było jechać. Zastanawiałam się nawet, nad tym co ja robię na tak ciężkim wyścigu. Bo to cały czas jest wyścig. Niezależnie od tego, czy idę, czy jadę. W końcu osiągnęłam Ellington. Po prawie 30 km ciągłych ścian. Masakra.

Dziura zabita dechami. Ale mieli pocztę. Nie mogłam jej znaleźć. Długo szukałam. Był też motel, ale mnie nie stać. Zostałam na poczcie. Sen długi, bo znowu mam reakcję alergiczną. Coś mnie użądliło przedwczoraj, w okolicach mostka. Czerwone, szczypie, boli, swędzi. Czyli moja norma. Przejdzie pewnie za tydzień.

Jeszcze jakieś 100 km w... ciężkim stanie, Missouri. Nachylenia bardzo duże. Spotkałam 2 chłopaków, którzy jadą trasą wyścigu. Mówili, że jeśli idzie o stromizny, to jest to właśnie najcięższy stan. Oby mieć to już za sobą! Coraz gorzej jest z psami. Jest ich dużo i atakują. Wśród nich też psy podobne do pitbulli i innych amstafów. Najlepiej było wczoraj. Zaatakowało mnie 6 psów. Właściciel to widział, wołał je. A jak nic to nie dało, to... uciekł do domu! Gaz na niedźwiedzie zużyje na psy. Pies to nie jest przyjaciel człowieka. Pies to PROBLEM!!!

26.06
Wczoraj, przekraczając mostem rzekę Missisipi, opuściłam stan Missouri i wjechałam do stanu Illinois. Miałam na plecach burzę, robiło się ciemno, więc poszłam na pocztę spać. Ładna, zabytkowa poczta i spokojna, nikt nocą nie przyszedł po listy. Rano duchota, burza wisiała nade mną. Ile sił w nogach jechałam do Campbel Hill, zdążyłam w ostatniej chwili. Nawałnica niesamowita. Ponad godzina ostrej burzy. Potem nadal była burza, ale pojechałam. 30 km w burzy do Murphysboro.

27.06.
Wczoraj były jeszcze 2 burze. Jedną przeczekałam na stacji w Goreville. Gdy minęło pierwsze uderzenie, ruszyłam. Druga burza złapała mnie pośrodku niczego. Ale był wiadukt kolejowy i jakieś roboty. Oczywiście wieczorem nie było tam nikogo. Schowałam się w toalecie przenośnej typu toi-toi. To było dobre. Potem w głębokiej szarówce, a następnie po ciemku jechałam w deszczu do Eddyville, na pocztę, spać. Na drodze pełno żabek. Mgły. Świetliki. Było nastrojowo jechać w tym deszczu i ciemności. Rano wcześniejsza pobudka. Ok. 30 km do Elizabethtown, tam dobre śniadanie i jazda na prom na rzece Ohio. Ogromna rzeka. Zaraz po przeprawie, burza. Na chwilę schowałam się pod chatką pilotów. Ale początkowo burza nie była tak silna i ruszyłam. To był błąd. Czasami jest tak, że w życiu podejmujesz ryzykowne decyzje. Potem, żałujesz, ale jest już za późno, by cokolwiek zmienić... wtedy przychodzi pora, by dalej iść przed siebie. Zacisnąć zęby. Nie patrzeć wstecz. Pomimo burz. Marion, McDonald.

29.06.
Wczoraj było deszczowo, burzowo i ciepło. Bardzo duża wilgotność powietrza. Jeśli chodzi o psy, to sposób mam jeden. Bardzo uważnie oglądam wszystkie posesje. Gdy widzę, że pies szykuje się do ataku, to się zwykle zatrzymuje (choć na stromych zjazdach się nie da!!!). To na ogół pomaga. Jak nie pomaga, to psikam w nie gazem na owady, a dalej gazem na niedźwiedzie. Nic się nie zmieniło, nie lubię psów. Żadne inne zwierzęta domowe nie są tak agresywne i napastliwe. Lubię za to koty. Wczoraj spotkałam jednego. W rowie, przy drodze, przed Sebree. Mały kotek z zakrwawionym noskiem. Odstawiłam rower i wyjęłam z rowu tego kota. Trochę mnie ofukał, ale to nic strasznego. Zaniosłam go do pierwszego najbliższego domu. Jakieś 200 m spaceru. Dałam panu, który kręcił się po obejściu.

Potem były górki i deszcze. Mniejsze stromizny, więc dało się normalnie jechać. Pod wieczór, miałam przygodę na stacji. Zacięły się drzwi od toalety i nie mogłam wyjść! Waliłam ręką w drzwi i wolałam o pomoc. W końcu ktoś przyszedł i mnie uwolnił.
Potem w nocy jazda do Whitesville. Poczta okropna. Wszystko widać. Na chwilę dołączyło 2 chłopaków z wyścigu, którzy mnie dogonili, ale na szczęście woleli iść spać pod kościół. Tu wpadli doładować elektronikę. Dziś rano czuję się zmęczona. Spałam słabo, bo wiedziałam, że doskonale widać mnie z ulicy. Wczoraj 215 km i ponad 2000 m pionu.

30.06.
Wczoraj dopiero późnym popołudniem poczułam się dobrze po zatruciu, które mnie dopadło. I wtedy zaczęłam normalnie jechać. Dojechałam do New Haven. Wjechałam 2 km w miejscowość, bo tam była poczta. Obok stacja BP, więc super, trochę się umyłam i zrobiłam

małe zakupy. Zaczepił mnie miły pan, Mike. Pytał dokąd jadę. Powiedział, że bardzo lubi rowerzystów, że mam pochodzić po sklepie, wybrać sobie coś do jedzenia i on mi to kupi. No to wzięłam 2 banany i gatorade. Potem dał mi jeszcze do portfela resztę, którą wydała pani na kasie. Zapraszał na pizzę (prowadzi pizzerie), ale ja niestety (!!!) zupełnie nie byłam głodna. Noc na poczcie spokojna. O 4 nad ranem przyszedł pan z gazetami i mnie obudził, więc wstałam :-). A potem, przed 5 już byłam na rowerze. Kompletnie ciemno jest tu o 5 rano, bo zmieniłam strefę czasową. No i w tych ciemnościach zaatakował mnie pies wyglądający jak amstaf. Zaczęłam krzyczeć ze strachu i wtedy ten pies na chwilę zgłupiał, a ja zdążyłam go potraktować gazem i zwiać. Potem była normalna jazda. Psy raz po raz, ale już nie tak groźnie. Ładny dzień, nie tak gorąco jak wczoraj, więc wilgotność powietrza tak nie przeszkadza. Teraz Burgin i pizza, na liczniku 111 km, godz. 14.

30.06
Między Lancaster a Berea było miejsce dla zawodników TABR. Wiata i domek, na którego tyłach był prysznic. Właściciele dowieźli nawet pizzę. Mówili zgodnie, że za Berea wszystko się zmieni. Przyjdą ostre dłuższe podjazdy i... będzie więcej psów :(. Dlatego, że wschodnie Kentucky jest biedne. Wspaniałe miejsce i dobra regeneracja. Potem 18 mil do Berea. Duże miasto i duża poczta. Od rana Apallachy, początek. Gdyby nie psy, bieda i brud, to byłoby tu tak pięknie. Zgubiłam dziś krem przeciwsłoneczny, nowy, wczoraj kupiony. Już mam nowy. Niestety jestem dość mocno opalona. Ci z Was, którzy wiedzą jak bardzo nie podoba mi się opalenizna, pewnie wiedzą jak bardzo jestem z tego niezadowolona. Ale cóż poradzić. Wyglądam strasznie. Jadę również strasznie. Powoli

01.07.
Wczoraj, popołudniem zrobiło się gorąco. 38 stopni i pełne słońce. Do tego duże podjazdy w tym skwarze. Mój organizm nie wyrabia w takim upale. Podjazd męczyłam na raty. Do Buckhorn dotarłam ledwo żywa. A tam... sklepik, w którym śmierdziało stęchlizna. Strach było cokolwiek dotknąć. Wziąłem napój i lody. Najgorsze lody w moim życiu. Teraz się z tego śmieję, ale wczoraj byłam wściekła. Potem do Chavies. Była tam poczta, można było nawet zgasić światło. Ale... Nie mogłam tam spać. Poczta była bez klimy, w środku ponad 30 stopni i duchota. Poszłam spać pod kościół. Rozbiłam namiot.

02.07.
Wczoraj dojechałam do Damascus. Znowu z tyłu była burza, ale tym razem daleko. Dojazd do miasteczka szybki. A tam... kibice TABR Mary Kvochak Davis i Jerry. Czekali na mnie! Ale to było cudowne! :-) miałam upatrzona pocztę, ale zaprosili mnie na nocleg i prysznic do domu! Znowu jestem czysta :-). Mile spędzony wieczór, noc w prawdziwym łóżku i rano wspólne śniadanie ze wspaniałą gorzką, czarną herbatą. Od rana podjazd długi na 28 km. Przefrunęłam dosłownie nad tą górą! Przyjemny poranny chłodek na to pozwolił. Teraz McDonald, mam 110 km, godz. 15.00. Znowu ta chora spiekota, co odbiera siły :(. Musicie pamiętać, że niezależnie od tego, ile marudzę, jestem bardzo szczęśliwa, że tu jestem. To piękne. Życie jest bardzo proste tutaj: jechać, jeść, pić, spać, walczyć ze zmęczeniem i pogodą i górami. Gdyby tylko takie problemy istniały, to życie byłoby bajką.

02.07.
Ojej, ale mi się nie chce! Jestem w McDonald w Meadowview, zapraszają na nocleg do kościoła. A tu jeszcze jasno, wiec trzeba dalej rąbać podjazdy do Damascus. Tam jest poczta. Na tę chwilę 115 km i 2111 m pionu. **Serdecznie pozdrawiam całą Wierzenicę. Wszystkich Mieszkańców. Wierzenica jest najpiękniejsza.**

04.07.
Dziś o 5 rano byłam już na rowerze. Było kompletnie ciemno jeszcze. Pocztę w Christiansburg miałam ładną, zabytkową. Po ciemku pagórki po mieście. Od samego początku bardzo ciepło. Jeszcze w sumie noc była, a już 21 stopni... to nie wróżyło dobrego dnia. Jak to kiedyś usłyszałam: it is too hot to have a good day. No więc dziś na tapecie to, czego nie lubię. Trasa bardzo interwałowa. Ciągle ostre zjazdy i podjazdy/podejścia. Do tego dziury zabite dechami i nie było

gdzie zjeść normalnego śniadania. Zjadłam więc po 70 km jazdy... chipsy. Dało mi to energię na kolejne 30 km pagórków. Co za rzeźnia! Mam teraz 101 km, 1043 m pionu, godz. 12.49 i... jem śniadanie. Frytki, cola i grzyby. Tylko to uznałam za jadalne. Z jedzeniem jest tu katastrofa ;). Miałam też teraz, tuż przed Buchanan, jakieś 7-9 km po drodze wysypanej luźnym żwirem. Fatalne to było do jazdy. Czy wspominałam już, że jest ciężko?

04.07
Czuję się chora od upału i stromych gór. Jestem w Lexington teraz, na liczniku 146 km i 1554 m pionu. Poważnie myślę o poczcie tu. A jest dopiero 18. Zbiera się na jakaś burzę. Jeśli tu nie zostanę, to potem mam aż 63 mile z praktycznie brakiem sklepów, poczt. To już będzie wjazd na Wezuwiusz, ponad 1000 m npm. Ostatnia bardzo duża góra wyścigu. Jeśli zdecyduję się jechać dziś dalej, to nocleg będzie na dziko, w namiocie. Zobaczę, jak będę się czuła po obiedzie. Jestem w jakiejś wykwintnej restauracji. Bo mają tu łososia, a ja lubię ryby.

05.07
Wczoraj dobry obiad i miła rozmowa postawiły mnie na nogi. Nie zostałam na tamtej poczcie, tylko pojechałam ponad 30 km dalej, lekko pod górę, do wsi Vesuvius. Poczta była tam maleńka i wszystko było widać z ulicy. Pojechałam więc kawałek dalej, pod kościół, i tam rozbiłam namiot. To było dobre, by nocować tuż pod górą, od rana zaczęłam wspinaczkę... pieszą. To bardzo ciężki podjazd. Normalnie do zrobienia w siodle. Ale nie po ponad 6000 km wyścigu. Pod koniec góry (4km marszu), spotkałam motocyklistę. Kibica TABR. Miał w kufrach chyba wszystko. Mi wystarczyło trochę arbuza i picie. Miłe spotkanie. Zjazd niejednorodny. Z elementami podjazdu. Od 11 godz. znowu spiekota. Masakra. Zajechałam do White Hall. 76 km, 1400 m pod górę. 13.50. Odpoczynek w klimatyzowanym sklepie. Pojechały tu za mną autem bardzo miłe dziewczyny, mówiły, że goniły mnie. Dostałam od nich ciastko i przepyszny napój przecierowy z truskawek i bananów

06.07
Wczorajsza fotka z miłego spotkania z dziewczynami w White Hall. Wczoraj do końca dnia było gorąco. Charlottesville, duże i nieprzyjemne miasto. Ogromny ruch, wąskie, kręte i pagórkowate drogi. Koszmar. Dalej, już lepiej. Nadal są pagórki, jest ich sporo. Ruszyłam dziś o 5 nad ranem i od razu aż 24 stopnie... to nie wróży przyjemnego dnia...

07.07
Pozdrowienia
z Yorktown!!! Jest meta!
Dziś miałam przyjemność przejechać okolice Richmond razem z Holly. To przemiła dziewczyna, która jeździ na pięknej, tytanowej szosowce Lynskey. Zabrała mnie na pyszne śniadanie i przejechałyśmy razem ładny kawał drogi. Podczas śniadania namierzył nas jeszcze jeden kibic TABR. A potem, 63 km przed metą, dorwała mnie mega burza. Schowałam się... pod drzewem. Na chwil parę. Ale burza nie chciała się skończyć. Więc ruszyłam. 20 km w ostrej burzy. Lało tak, że samochody jechały powoli na światłach awaryjnych. A ja prawie nie widziałam drogi. Potem był już do końca normalny deszcz. A ja... cieszyłam się z tego. Bo przecież mogło być gorzej. Mógł być skwarrrrrr. Na metę dojechałam około 21, po ciemku i w deszczu, 260 km. Nie było to łatwe zakończenie.
No ale mam to! Ukończyłam Trans Am Bike Race!

Po wyścigu:
Jestem mocno opalona, paznokcie i włosy mam w kiepskim stanie. Jestem chudsza niż normalnie, moja waga teraz to zaledwie 49 kg. To cena jaką trzeba zapłacić za ten wyścig. Pranie ręczne przekracza moje możliwości, tak mocno bolą mnie dłonie, goją mi się rany, trudno się siedzi. Trans Am Bike Race - teraz mam to już za sobą.
Oregon jest piękny, jak z bajki. Jedziesz w nieustannym zachwycie. A potem nagle robi się gorąco i bardziej stromo. To Idaho. Dużo owadów, szarańcza. Niesamowicie przestrzenna Montana. Ogrom tego co się widzi, budzi respekt. Wyoming to wiatr. Tam potrafi wiać... jeśli myślisz, że strasznie wieje, to wiedz, że tu zawsze może być jeszcze gorzej. A potem nagle znikają szerokie pobocza. To już Colorado. Mniej ostrożni kierowcy. Dziwny stan. Rozgrzeje polami geotermalnymi w Yellowstone, a potem z samego rana zetnie mrozem. Wyniesie wysoko, prawie do nieba, ale zapłacisz za to... krwotokiem z nosa. Wtedy przyjdzie czas, by zejść na ziemię. Kansas. Jeśli nagle zauważysz, że boisz się czarnych asfaltów, to musi to być Kansas. Gorący, wietrzny stan. Ciemny asfalt odbija ciepło. Z góry praży słońce. Jak piekarnik. Widzisz miasto z daleka. I ono ciągle jest daleko. Rozległa przestrzeń. To tu mogą pęknąć usta od uśmiechu. Bardzo mili kierowcy.
Missouri to ściany. Ściana w górę, ściana w dół. To boli. Ale jeśli chcesz mieć zdjęcie "na ściance", przyjedź tu koniecznie. Illinois to stan ciągłej burzy. Nigdzie niebo nie jest tak niespokojne. Kentucky stoi psami. A właściwie szczeka, warczy i wściekle goni. A potem jest Virginia. Jeśli

nie masz dość sił, to musisz pokochać spacery z rowerem... Taki jest Trans Am Bike Race. To trudny wyścig. Sprawdzi wszystkie Twoje umiejętności kolarskie i... bezlitośnie obnaży ich brak.
Dziękuję wszystkim, którzy mnie obserwowali, mam nadzieję, że udało mi się dostarczyć Wam trochę sportowych wrażeń.

przywitanie wierzenickich Kotów ;)

Końcowy fragment nauczania na Mszy św. połączonej z koncertem w Wierzenicy Braci Kaczmarek w dniu 17 czerwca br.

„...Ostatnia koncertowa dedykacja i ostanie słowa kieruję do niezwykłej mieszkanki Wierznicy Marzeny Szymańskiej, która w chwili obecnej przebywa w Stanach Zjednoczonych i uczestniczy w wielkich indywidualnych zawodach kolarskich, w czasie których do przejechania jest, bagatela, 6750 km od zachodniego do wschodniego wybrzeża Ameryki. Przy czym każdy uczestnik musi sam sobie zadbać o jedzenie i nocleg. Do przejechania jest określona trasa, a każdy zawodnik sam też sobie wyznacza ile kilometrów danego dnia przejedzie. Na ten wyjazd Marzena sama się przygotowywała, sama zbierała i odkładała pieniądze. W trasie jest od 3 czerwca.
W dzisiejszych „Wierzeniczeniach" publikujemy krótkie relacje, jakie mamy od niej. Dzień przed wyjazdem pobłogosławiłem ją na ten trud i na szczęśliwy powrót.

Marzena, nikt z nas nie wsiądzie na rower, żeby chociaż na jednym dwustu, albo chociaż stu kilometrowym odcinku Ci towarzyszyć. Powierzam Cię Bożemu prowadzeniu żebyś swoje marzenie życia zrealizowała. Brawa dla tej dzielnej dziewczyny z Wierzenicy...."

x. Przemysław Kompf

najlepsze noclegi w drewnianych kościołach

„Nie powinno się odkładać marzeń na później”

Wywiad z Marzeną Szymańską, niesamowitą kobietą, która jako jedyna mieszkanka Wierzenicy wzięła udział, a co więcej - ukończyła wyścig Trans Am Bike Race, o którym większość z nas nawet nie słyszała...
O trudach wyścigu, zmaganiach z chorobą wysokościową, życzliwości ludzkiej, a przede wszystkim o tym, że marzenia się spełniają o ile tylko damy sobie szansę!

Wierzeniczenia (W): Marzeno, Trans Am Bike Race - co to za wyścig? Ile czasu zajęło Ci ukończenie go?
Marzena Szymańska (MS): Trans Am Bike Race jest wyścigiem w poprzek Stanów Zjednoczonych. Rozpoczyna się na zachodnim wybrzeżu, w Astorii i po 6735 km kończy się na wschodnim wybrzeżu, w Yorktown. Wyścig przebiega przez 10 Stanów: Oregon, Idaho, Montana, Wyoming, Colorado, Kansas, Missouri, Illinois, Kentucky, Virginia. Uzyskałam czas: 34 dni, 12 godzin i 35 minut.

W: To niesamowite osiągnięcie! Większości z nas skala tego przedsięwzięcia pewnie nie mieści się w głowie. Powiedz proszę kiedy po raz pierwszy dowiedziałaś się o tym wyścigu?
MS: Zeszły rok był przełomowy. Wtedy w Trans Am Bike Race wystartował mój kolega z Warszawy, który zajął świetne, siódme miejsce.

W: Skąd wziął się pomysł, aby w nim wystartować?
MS: Zainspirował mnie kolega z Warszawy, który ukończył ten wyścig rok wcześniej. Sporo jeżdżę na rowerze. Głównie na szosie. Brałam udział w wielu wyścigach szosowych w Polsce, ukończyłam dwukrotnie Bałtyk - Bieszczady Tour (1008 km non stop), a w zeszłym roku Maraton Rowerowy Dookoła Polski (3130 km). Tu, w kraju nic trudniejszego już nie ma. Zaczęłam więc patrzeć dalej. Uważam, że nie powinno się odkładać marzeń na później. Warto je realizować tu i teraz. Drugiej okazji może nie być.

W: Czy przed tym wyścigiem startowałaś w innych zawodach?
MS: Tak. Ukończyłam kilkadziesiąt maratonów szosowych. Zaczynałam od zawodów, gdzie dostępne były dystanse około 200 kilometrowe. Później zauważyłam, że można jechać jeszcze dalej. Przejechałam pierwsze 300, 400 i 500 km. Szukałam cały czas granicy, byłam ciekawa, co dzieje się z organizmem, gdy przełamuje się kolejne kryzysy. No bo przecież nie da się jechać w nieskończoność! Okazało się, że.... na końcu się zasypia na rowerze, podczas jazdy. Doświadczyłam tego.

W: Ojej! Dobrze, że nic Ci się nie stało i obudziłaś się w porę! A kiedy zaczęła się Twoja przygoda z rowerem? Lubisz jeździć od dziecka? Czy miałaś jakiś swój ukochany rower, który wspominasz z rozrzewnieniem?
MS: Jako mała dziewczynka, okropnie zazdrościłam innym dzieciom tego, że umieją jeździć na rowerze. Ja nie umiałam, bo moje dzieciństwo to było nieustanne pasmo chorób i pobytów w szpitalach. Jednak cały czas miałam to z tyłu głowy - że fajnie by było się nauczyć. No i się nauczyłam. Miałam wtedy 25 lat. Od roku 2005 do teraz przejechałam rowerem 170 000 km. I jadę dalej. Nadrabiam stracony czas :). Mój pierwszy rower ten, który kupiłam mając 25 lat, mam do teraz. Jeżdżę nim codziennie do pracy.

W: Czy w Twojej rodzinie jest więcej sportowców lub osób tak zdeterminowanych na osiąganie celów jak Ty?
MS: Nie. Nie znam nikogo w rodzinie, kto by był pasjonatem sportu. Jednak rys charakteru, który odpowiada za posiadanie silnej pasji, z pewnością odziedziczyłam po tacie, który też jest pasjonatem. Jednak w innej dziedzinie.

W: Z kogo brałaś / bierzesz przykład? Masz jakiegoś idola – sportowca lub niekoniecznie, kto motywuje Cię do osiągania celów?

MS: Oczywiście są sportowcy, których cenię i podziwiam. Jednak daleka jestem od tego, by próbować stać się "drugą... - i tu można wstawić dowolne, znane nazwisko". Każdy powinien być sobą, ponieważ to jest najbardziej wartościowe. Bardzo cenię kolarzy ultra takich jak Sarah Hammond, czy Mike Hall, który stracił życie w ubiegłorocznym wyścigu przez Australię Indian Pacific Wheel Race. Niesamowite osobowości i wielkie talenty sportowe.

W: Zdajesz sobie sprawę, że teraz Ty możesz stać się wzorem, idolką dla innych? Jestem przekonana, że wiele osób będzie brało sobie Ciebie za przykład i mówiło: chcę być jak Marzena!
MS: Takim osobom chętnie pomogę, podpowiem, bazując na własnym doświadczeniu. Myślę, że dawanie przykładu, bycie idolką, to odpowiedzialność. Osoba, która dotąd przez większość życia była mało aktywna nie przejedzie z miejsca 200 albo 300 km. Trzeba stopniowo zwiększać obciążenia, sprawdzać jak reaguje organizm. No i przede wszystkim nie załamywać się i nie panikować, gdy coś idzie nie tak. Opanowanie i silne nerwy to duża część sukcesu.

W: Co jest potrzebne do tego, aby osiągnąć swój cel? Treningi, systematyczność, wiara w siebie, czy coś jeszcze innego?
MS: Myślę, że wszystko to co wymieniłaś - po trochu. Chociaż ja akurat nie trenuję. Słowo trening od razu przywołuje jedno skojarzenie: ból.

Nie chcę, by rower źle mi się kojarzył.
Jednak systematyczność (która uchodzi za ważną składową treningu) mam zapewnioną - codziennie jeżdżę rowerem do pracy. Nawet jeśli jest zimno, pada deszcz, albo występuje siarczysty mróz. Przesiadam się do samochodu tylko wtedy, gdy na drogach pojawiają się śnieg i lód. Inne warunki pogodowe nie są dla mnie przeszkodą. Poza pracą też jeżdżę na rowerze. Zdarza mi się pojechać w jeden dzień z Wierzenicy do Gdańska, albo do Olsztyna, Warszawy... Krótko przed Trans Am Bike Race wpadłam na pomysł, by pojechać rowerem na Jasną Górę i pomodlić się o pomyślność na wyścigu. Wyjechałam w sobotę rano, dojechałam tego samego dnia, akurat na 21.00, gdy zaczynał się Apel Jasnogórski.
Wiara w siebie też bardzo pomaga. Jest to akurat jedna z tych rzeczy, których nigdy mi nie brakowało. Brak wiary w siebie, to w mojej opinii, wstęp do porażki.
Do tego wszystkiego dodałabym jeszcze wyobraźnię i odwagę by realizować marzenia. Nawet te najbardziej nieprawdopodobne.

W: Co popycha Cię do przodu i motywuje do działania?
MS: Sam widok roweru jest dla mnie wystarczający, by nabrać ochoty na jakiś ciekawy wyjazd :). Czasem wystarczy, że zobaczę zdjęcie jakiegoś ładnego miejsca. Wszystko zaczyna się zwykle od drobiazgu. Potem idzie cała reszta: planowanie trasy, logistyka dojazdowa, bilety. Jeśli jest to wyścig - to dokładne przestudiowanie regulaminu i zapisanie się na listę startową. Latem lubię na weekend wyjechać w Polskę. Od razu po pracy. W pakowaniu się na wyjazd doszłam do perfekcji, potrafię to zrobić w kilkanaście minut.

W: Jak sobie radzisz w najtrudniejszych chwilach? Gdy nogi już odmawiają posłuszeństwa, mięśnie pieką żywym ogniem, tchu brak – co sprawia, że jedziesz dalej? Jaki masz sposób na siebie?
MS: Takie sytuacje nie zdarzają się często. Silny ból mięśni, brak tchu - to jest typowe dla krótkich, ostrych wyścigów. Na ultramaratonach to praktycznie nie występuje. Trzeba rozsądnie rozłożyć siły. Jeśli wyeksploatuje się organizm już na samym początku, to później można mieć duży problem, by wyścig w ogóle ukończyć. Kiedy jest mi trudno.... to po prostu zwalniam, czasem coś piję, jem. Tego trzeba pilnować. Często po batoniku, kanapce - okazuje się, że wcale nie jest tak źle i można jechać dalej :).

W: Jaki był najtrudniejszy moment w tym wyścigu? Co było największym wyzwaniem?
MS: Największym problemem były duże wysokości. Tu, na terenie naszej Parafii, żyjemy na wysokości około 100 m n.p.m. Tam przez wiele dni przebywałam na wysokości ponad 2000 m n.p.m., by w końcu wjechać na najwyższą przełęcz wyścigu - Hoosier Pass (3500 m n.p.m.). Na tak dużych wysokościach pojawiły się u mnie pierwsze objawy choroby wysokościowej. Krwawienia z nosa, kaszel, zawroty głowy, mdłości. Miejscowi są przyzwyczajeni do obniżonej zawartości tlenu w powietrzu, oni tam po prostu normalnie żyją - my nie. Z pewną rozpaczą mogłam tylko bezradnie patrzeć jak wyprzedzali mnie praktycznie wszyscy, którzy tam mieszkając wyszli akurat na rower.
Innym istotnym wyzwaniem było funkcjonowanie w warunkach upału połączonego z dużą wilgotnością powietrza. Takie warunki w Polsce... nie występują nigdy. To bardzo obciąża organizm, płuca, serce. Można to porównać do jazdy rowerem w saunie parowej.

W: Tak zupełnie szczerze – ile razy myślałaś, że już dalej nie dasz rady i chciałaś się poddać?
MS: Ani razu. Nie było ani jednej takiej chwili, bym pomyślała, że nie dam rady. Co roku średnio połowa uczestników wycofuje się z tego wyścigu. Powody są różne: infekcje, zatrucia, kontuzje, zbyt słaba psychika, problemy ze sprzętem, niedoszacowanie budżetu albo czasu potrzebnego na dotarcie do mety. Tu warunki pogodowe są skrajne. One mogą przekroczyć wyobrażenia.
Stojąc na starcie myślałam o tym, że połowa z nas nie dojedzie do mety. Byłam pewna, że mnie wśród tych co nie dojadą nie będzie.

W: Podziwiam Twoją pewność siebie. To ważna cecha, która na pewno pomaga osiągać cele. Marzeno, zmieniając temat... Spędziłaś sporo czasu sam na sam ze sobą. Pewnie było wiele chwil na rozmyślania. Czy w czasie jazdy o czymś myślisz? Czy jest to jakaś gonitwa myśli, czy też umysł się wycisza, uspokaja, wpadasz w swego rodzaju trans?
MS: Podczas ultramaratonu teoretycznie jest dużo czasu na myślenie. Po kilkanaście godzin na dobę jedzie się rowerem. Jednak myśli dość szybko uciekają. Zostaje wolna głowa. To stan, który lubię. Nie myślę o niczym szczególnym. Rejestruję mijane miejsca. Całe myślenie sprowadza się do rzeczy bardzo prostych: gdzie i co zjeść, jak daleko jest do kolejnej miejscowości, gdzie będę spać, jaka będzie pogoda. Życie podczas ultramaratonu jest bardzo proste. W skrócie ogranicza się do trzech podstawowych rzeczy, a są to: jazda, spanie i jedzenie.

W: A co czułaś na mecie?
MS: To było dziwne. Podstawowym uczuciem, jakie mi towarzyszyło, była... złość. Zła byłam sama na siebie, bo uprzednio nie sprawdziłam, gdzie w Yorktown (miasteczko mety) jest poczta - tym samym nie miałam sprawdzonej miejscówki noclegowej. Byłam też zła, bo tuż przed metą trochę pogubiłam trasę. Było ciemno, padał deszcz. Ostatnie 63 km zrobiłam w burzy i deszczu, finisz miałam po 21.00 czasu amerykańskiego (w Polsce był to środek nocy). Byłam na siebie zła o tę pogubioną trasę. Potem jednak szybko to przeszło. Na mecie czekali kibice. Mimo podłej pogody. Ludzie się mną zaopiekowali, załatwili nocleg, zabrali na pizzę, dali nowe, czyste ubranie. To były magiczne chwile. Wtedy przyszło wzruszenie i radość.

W: Czy komuś dedykujesz swój sukces?
MS: Mój sukces dedykuję przede wszystkim mojej rodzinie: rodzicom i siostrze. A także wszystkim tym, którzy na trasie towarzyszyli mi swoimi myślami, życzliwym słowem. To było dla mnie bardzo ważne.

W: Proszę zaspokój moją ciekawość – dlaczego noclegi planowałaś na poczcie czy w kościele? Czy poczty w Stanach Zjednoczonych są otwarte całą dobę?
MS: Bazę budynków pocztowych na trasie Trans Am Bike Race opracowałam bardzo szczegółowo jeszcze w domu, zimą. Od Ryszarda (kolega, który jechał ten wyścig w zeszłym roku) wiedziałam, że poczty to dobre miejsca noclegowe. Prawie każda poczta w USA składa się z dwóch części: urzędowej - czynnej zwykle do ok. 15.00 oraz

ogólnodostępnej, czynnej 24 h, w której znajdują się skrytki pocztowe. Z tych skrytek o każdej porze dnia i nocy można odbierać przesyłki. To idealne również dla maratończyków: można wejść pod dach i spać w cieple, bez ryzyka związanego z warunkami pogodowymi. Jedyną wadą nocowania na poczcie było palące się cały czas światło, którego nie szło zgasić oraz to, że czasem pojawiali się ludzie po przesyłki. Jednak przy dużym zmęczeniu nie było to problemem. Kościoły czasami również były otwarte całodobowo. Jednak nie wszystkie. Poczty były zdecydowanie bardziej pewne.

W: Czy ktoś próbował Cię okraść? Nie bałaś się, że ktoś Cię napadnie? W amerykańskich filmach często widać nieciekawe typy, niebezpieczne miejsca – czy przeszło Ci choć przez chwilę przez myśl, że nie jesteś tam bezpieczna?
MS: Nie. Nikt nie próbował mnie okraść. Wręcz przeciwnie, doświadczyłam bardzo dużo życzliwości. Czasem ktoś widząc, że robię zakupy pytał skąd i dokąd jadę - gdy mówiłam o wyścigu, ludzie czasem prosili by mogli zapłacić za moje zakupy. Raz jeden pan widzący mnie podczas przerwy w McDonald`s dał mi 20 USD życząc powodzenia. Nie czułam zagrożenia ze strony ludzi. Zagrożeniem były natomiast biegające luzem agresywne psy i nieobliczalna pogoda. Trasa wyścigu nie prowadziła przez duże miasta. Jedynym dużym miastem było Baltimore - z którego wylatywałam już po wyścigu do Europy. Tam nie czułam się bezpiecznie. Ludzie bywali nachalni. Wieczorem nie odważyłam się wyjść z hostelu.

W: Z Twojej opowieści (niezwykle ciekawej!) wynika, że spotykałaś serdeczne osoby na swojej drodze. Czy ktoś szczególnie zapadł Ci w pamięć?
MS: Takich ludzi było wielu. Bardzo mile wspominam dziewczyny w White Hall. Urwały się z pracy, by mnie spotkać, goniły samochodem i w końcu złapały. Miały dla mnie przygotowany w domu zimny napój z prawdziwych owoców: truskawek i bananów.

Pyszny! Albo Mike i Wendy z Ash Grove - każdego roku przechwytują zawodników Trans Am, tego roku udało im się spotkać wszystkich! Mary Davis z mężem - czekali na mnie na skrzyżowaniu i zaprosili na noc do domu.

W: Jacy byli inni zawodnicy wyścigu? W podobnym wieku? Czy to byli zawodowcy – sportowcy, czy też na co dzień wykonywali inny zawód, a ten wyścig był dodatkiem do ich życia? Czy byli nawzajem dla siebie życzliwi? Z Jakich krajów pochodzili? Czy z kimś utrzymujesz kontakt do tej pory? Może zaplanowaliście jakąś wspólną rowerową wyprawę?
MS: Byliśmy w różnym wieku. Najmłodszy był Ben - miał dopiero 19 lat i jechał w duecie ze swoim tatą. Najstarszy zawodnik był po sześćdziesiątce. Byli to ludzie zajmujący się różnymi rzeczami. Większość z nas normalnie pracuje, nie jesteśmy zawodowcami. Wiem, że niektórzy, by móc wziąć udział w tym wyścigu musieli rzucić pracę. Moja praca jest na tyle fajna, że nie musiałam jej rzucać - dostałam bezpłatny urlop - to wspaniałe.
Wszyscy byli dla siebie życzliwi. Nie spotkałam się z niemiłym zachowaniem. Niemniej był to jednak wyścig i duch rywalizacji był odczuwalny. Przez wiele dni ścigałam się bezpośrednio z Genevieve z Kanady. Wiele razy tasowałyśmy się na trasie. To było bardzo motywujące. W drugiej części wyścigu starałam się dogonić Lecha Kiedrowskiego - który od lat mieszka w Stanach. Ostatecznie nie udało mi się to. Chociaż.... on dotarł na metę zaledwie kilka godzin przede mną. Tak mała różnica czasowa na ogromnym dystansie 6735 km mówi wiele :)
Zawodnicy pochodzili z różnych krajów. Najwięcej osób było z USA. Byli też jednak ludzie z Anglii, Austrii, Kanady. Z niektórymi osobami kontakt utrzymuję do dziś. Nie jest wykluczone, że kiedyś się spotkamy. Ostatecznie, świat nie jest aż tak duży jakby mogło się wydawać :)

W: Czy ten wyścig był Twoim największym marzeniem?
MS: Tak. To było marzenie. Jadąc myślałam sobie czasem, że to zupełnie niesamowite, że mogę tu być. Widzieć te wszystkie miejsca, doświadczać nieobliczalnej pogody. Nawet wtedy, gdy robiło mi się słabo z gorąca, albo gdy przez 8 km musiałam pchać rower przez kompletne pustkowie, bo wiało tak mocno, że nie dało się jechać - była we mnie radość. Cieszyłam się właśnie z tego, że realizuję swoje marzenie.
W: Sama zebrałaś fundusze na tę przygodę? Czy masz może jakiś sponsorów? Starałaś się ich kiedyś pozyskać?

MS: Tak, pojechałam za własne oszczędności. Organizator polskiego ultramaratonu Bałtyk-Bieszczady Tour, Robert Janik, ufundował mi kompletny strój, który otrzymuje każda osoba kończąca ten najbardziej znany polski ultramaraton szosowy. Była to jednak wyjątkowa wersja tego stroju. One (te stroje) wszystkie są niebieskie. Specjalnie dla mnie natomiast został zaprojektowany i uszyty strój w moim ulubionym różowym kolorze. Jedyny taki egzemplarz! Później na trasie, przyjaciele i znajomi uruchomili spontaniczną zbiórkę pieniędzy dla mnie. Na moje konto zaczęły spływać pieniądze. Byłam zaskoczona i wzruszona, że tylu osobom chce się oglądać moje zmagania i że tyle osób mi serdecznie kibicuje!

W: Co jest następne na Twojej liście? Czy masz już kolejny cel?
MS: Jeszcze nie mam zaplanowanych wyjazdów na przyszły rok. W tym natomiast, pod koniec sierpnia, wezmę po raz trzeci udział w Bałtyk - Bieszczady Tour 1008 km. Jest to wyścig, który łączy dwie najbardziej oddalone od siebie miejscowości: Świnoujście i Ustrzyki Górne w Bieszczadach.
W: Marzeno, bardzo dziękuję Ci za wywiad i w imieniu całej Redakcji życzę Ci powodzenia we wszystkich kolejnych startach! Jesteśmy niesamowicie dumni, że nasza Parafianka, osoba z krwi i kości, żyjąca blisko nas dokonała czegoś tak wielkiego. Bierzmy z Ciebie przykład, nie odkładajmy marzeń na później! Udowodniłaś, że nie ma rzeczy niemożliwych i wszystko tak naprawdę zależy od nas. Ogromnie Ci za to dziękuję!

Rozmawiała Marysia Szlachciak

WWW.DRUKARNIASWARZEDZKA.PL

najlepsza drukarnia pod niebem

Swarzędz ul. Pogodna 24 a tel. 061 817 27 64

Wierzeniczenia * 5 /146/ 2018 Rok XIX
Pismo wychodzące przy Parafii p.w. św. Mikołaja w Wierzenicy
Redagują: ks. Przemysław Kompf, Ewa Buczyńska, Włodzimierz Buczyński,
Maria Szlachciak, Maciej Dominikowski
fotografie Marzena Szymańska FB
skład, łamanie i opracowanie graficzne Maciej Dominikowski
adres: Wierzenica 46 * 62-006 Kobylnica e-mail wierzenica@wp.pl
strona internetowa: Weronika i Piotr Pomin

Druk: "Drukarnia Swarzędzka"
www.drukarniaswarzedzka.pl
Stanisław i Marcin Witecki
Swarzędz ul. Pogodna 24 a tel. 061 817 27 64

Znak Dobra
WIERZENICZENIA
LAUREAT NAGRODY
DZIENNIKARSKIEJ 2013